

## *List do Gebethnera i Wolfa*

Problemy ze zdrowiem sprawiły, że abecadło poznawałem głównie pod kierunkiem dziadka i dorabiającego „na prywatę” nauczyciela, starsza siostra też czasem poprawiała moje dukanie liter. Po przerobieniu już w szkole elementarza z Alą co ma kota, należało znaleźć inny podręcznik nauki czytania. Kiedy już rozumiałem wyrazy ze składowanych sylab i sens zdań wydukanych na głos, dziadek nakazał mi systematyczne czytanie „Pisma Świętego Starego i Nowego Testamentu”. Bardzo mnie cieszyło samodzielne odczytywanie, znanego już z opowiadań działania Pana Boga w stworzeniu świata. Potem o stworzeniu człowieka Adama, a później kobiety Ewy oraz ich życiu w Raju. A potem o nieadekwatnie wysokim wymiarze kary za dosyć dziwne drobne wykroczenie polegające na zjedzeniu jabłka z zakazanego drzewa.

Podobny pogląd prezentowała kilkuletnia dziewczynka w odległej o jakieś trzydzieści lat przyszłości. Dwie siostry wychowywane przez rodziców kierujących się zasadą, że światopogląd winien być sprawą świadomego wyboru, nie otrzymały w najwcześniejszym dzieciństwie biblijnych podstaw religii. Starsza, pięcioletnia siostra, wraz z rówieśnikami z przedszkola uczęszczała na naukę religii. Dowiedziała się od katechetki o siedmiodniowym cyklu stworzenia świata i dziejach Adama i Ewy. Zafascynowana nową wiedzą postanowiła podzielić się nią z młodszą o rok siostrą.

– Pan Bóg stworzył dla Adama i Ewy piękny ogród, który nazywał się Raj. Na drzewach rosły różne smaczne owoce, które mogli zrywać i jeść. Tylko z jednej jabłoni nie wolno było jeść jabłek.

– Dlaczego? – padło dociekliwe pytanie.

– No bo Pan Bóg im zakazał, bo to było drzewo mądrości.

Wyraz twarzy słuchaczki wskazywał, że wyjaśnienie nie było satysfakcjonujące.

Opowieść toczyła się dalej.

– Wąż, który czatował na zakazanym drzewie, namówił Ewę żeby zerwała jabłko i żeby zjedli je razem z Adamem. Ale to nie był wąż, tylko szatan. Jak to jabłko zjedli, to Pan Bóg rozgniewał się i wypędził Adama i Ewę z Raju. I odtąd musieli ciężko pracować na ziemi.

– Co za głupia bajka! – skwitowała słuchaczka.

Dziecku nie mieściło się w głowie, że za zjedzenie owocu, tak bardzo zdrowego, który mama zawsze podtyka, można kogoś ukarać. Opowiadająca rozplakała się, bo przecież to taka fascynująca opowieść usłyszana od takiego autorytetu jak siostra katechetka.

Według mego dziadka godny czytania dla młodego człowieka był Nowy Testament. Ja natomiast chętniej czytałem Stary Testament. Szczególnie interesujące były opowieści o wojnach i przebiegłości Żydów w „wyprowadzaniu w pole” różnych władców, w czym często posługiwali się

swoimi żonami lub córkami. Zapewne dziadek nie pochwałał takich metod walki z wrogiem.

Na początku trzeciej klasy, a było to przecież w czasie okupacji, natrafiłem na zbiór patriotycznych opowiadań. Jedno z nich utkwilo mi w pamięci, choć nie wiem czy opisywało zdarzenia z czasów poprzedniej wojny światowej, czy też wojny bolszewickiej.

Młody podporucznik (choć osiemnastoletni a już taka szarża!), otrzymał rozkaz wysadzenia rosyjskiego pociągu pancernego, który od kilku dni ostrzeliwał nasze pozycje nawałą ognia z dział i kulomiotów. Porucznik pod osłoną nocy wraz z kilkoma żołnierzami podłożył dynamit do dziur pod podkładami szyn, wydrapanych krwawiącymi rękami. Nagle pociąg pancerny wynurzył się zza zakrętu i już nie było czasu na ucieczkę, ani podpalenie lontu. Podporucznik rozkazał żołnierzom wycofać się i postanowił osobiście zniszczyć pociąg. Wyprostowany stanął na torze, skrzyżował ręce na piersiach z odbezpieczonymi granatami w dłoniach i kiedy pociąg prawie na niego najeżdżał, upuścił granaty powodując wybuch dynamitu. Sam zginął ale pociąg pancerny wykoleił się wśród serii eksplozji amunicji w nim zmagazynowanej. Podporucznik został pośmiertnie awansowany zdaje się do stopnia kapitana i odznaczony, pamiętam dokładnie: Krzyżem Virtuti Militari IV klasy. Miałem pretensję do dowódców, że za taki czyn dali bohaterowi krzyż tylko IV klasy.

Żałowałem, że zginął w tak młodym wieku. Mógł żyć jeszcze wiele lat i dać się we znaki Moskalom, a ile przygód jeszcze mogło go czekać.

Książka miała adnotację, że jest zalecana dla młodzieży szkolnej przez ministerstwo propagandy państwowotwórczej. Takie ministerstwo istniało, i po „tamtej wojnie” tworzyło z trzech zaborów jednolite państwo polskie. Na okładce książki znalazłem informację, że Księgarnia Gebethnera i Wolfa wysyła za zaliczeniem pocztowym różne książki. Ceny książek, jak się potem okazało w przedwojennych złotych, były niezwykle niskie w stosunku do cen wyrażanych w pieniądzech Banku Emisyjnego obowiązujących na terenie Generalnego Gubernatorstwa.

Gdy Pan w szkole wyjaśnił mi co znaczy dostarczenie przesyłki „za zaliczeniem pocztowym” zapragnąłem mieć własne książki. Napisałem list zatytułowany: „Drodzy Gebethnerze i Wolfie!”, a następnie poprosiłem o przysłanie chyba z dziesięciu książek. Zamówienie opracowywałem przez kilka dni z dużym zaangażowaniem wyobraźni i zależnie od aktualnych odczuć zmieniałem tytuły książek. Bo jeśli przygody jakiegoś tam Robinsona nadają się pewnie do czytania dla chłopców, to taka „Chata wuja Toma” pasuje bardziej dla dziewczyn, bo one z natury zajmują się porządkowaniem i urządzaniem chat. W końcu list został przygotowany i zaadresowany: „JWP Gebethner i Wolf, Kraków, ulica, numer domu”. Owe „JWP” – Jaśnie Wielmożni Panowie –

użyłem za poradą dziadka, który obracał się przecież wśród wysoko urodzonych państwa i wiedział jak się adresuje takie listy, a ci księgarze zapewne byli Jaśnie Wielmożnymi Panami, choć nazwiska mieli nie polskie. Dziadek dopuszczał użycie skrótu „WP” – Wielmożni Panowie. – „Ale JWP przed własnym nazwiskiem lepiej się widzi” – konstatował. W przyszłości skróty te, zostały odsądzone od czci i wiary i zastąpione demokratycznym: „Ob.”

Nie pamiętam skąd był znaczek pocztowy, może jeszcze przedwojenny. Najbliższa poczta była na Stacji, stamtąd listonosz przynosił listy dwa razy w tygodniu. We wsi, jak by nie było siedzibie gminy, znajdowała się skrzynka pocztowa na sklepie „Społem”.

W mroźny, chyba styczniowy dzień, odziany w paletko, z którego już wyrosłem, okutany matczyną chustką, nie zważając na zimowe przeciwności, poszedłem wrzucić do skrzynki pocztowej list z zamówieniem na książki. Nie bardzo wierzyłem w sens tych poświęceń, bo zamówione książki są jeszcze przedwojenne i Niemcy nie zgodzą się na ich wysłanie. A skrzynka pocztowa też jest przedwojenna i nikt nie zabierze tego listu.

Dawno zapomniałem o zamówieniu na książki, aż tu w kwietniu rozeszła się wieść po wsi, że listonosz nosi jakiś list i nie może odnaleźć adresata. Aż po

odwiedzeniu wszystkich Żebraków dotarł do naszego domu. Ku memu zdumieniu było to adresowane do mnie zawiadomienie o nadejściu paczki, którą należy odebrać na poczcie. Kiedy wyrażaliśmy zdziwienie, że list został zabrany ze skrzynki pocztowej w tak niepewnych czasach, oburzenie listonosza nie miało granic z powodu braku zaufania dla tak poważnej instytucji jaką jest poczta, a i dla niego osobiście jako jej przedstawiciela na stolicę gminy. – „Jak wisi skrzynka, to musi być opróżniana z listów, a list ma być dostarczony adresatowi. Nawet gdyby nie było na nim znaczka!” Wtedy poznałem nowe słowo: „adresat” – to są ci panowie Gebethner i Wolf, bo dostali list ode mnie. A teraz to ja też jestem „adresatem”, bo dostałem list od nich. Prawie na zawsze nabrałem szacunku do poczty. Choć teraz list z tańszym znaczkiem zeszłorocznym może dotrzeć tylko do kosza.

Za paczkę z książkami należało zapłacić aż sto czterdzieści pięć złotych. Była to nie mała kwota. Pogodziłem się z myślą, że z książek nic nie będzie. Czułem się winny, że zawiodę panów Gebethnera i Wolfę, którzy zadali sobie tyle trudu z wysłaniem książek dla mnie. Wprawdzie poczucie winy zmniejszyły niemiecko brzmiące nazwiska. Może będzie bardziej patriotycznie nie odbierać książek wysłanych przez Niemców. I wtedy dostałem pierwszy w życiu prezent imieninowy od rodziców: pieniądze na książki. Na „zrobienie” pieniędzy poszła

kura i pół kopy jaj, i masło z tygodniowej zbiórki śmietany. Był to wydatek graniczący z rozrzutnością.

Rodzice uznali, że sam muszę doprowadzić sprawę do końca. Wyprawili mnie na pocztę. Pięć kilometrów pieszo w jedną stronę, nic wielkiego. Rzadko dla jednej osoby angażowało się konia z wozem, zresztą na wiosnę koń był potrzebny do prac polowych. Zawsze była nadzieja, że ktoś podwiezie furmanką.

Na poczcie pani w okienku długo się zastanawiała czy mam odpowiednie uprawnienia do odbioru przesyłki. W końcu uznała, że zapłata dość znacznej kwoty jest wystarczającą gwarancją mej tożsamości. Paczka ważyła ze dwa kilogramy i była dość nieporęczna do niesienia, i im więcej kilometrów miałem w nogach, tym stawała się cięższa. Żadna furmanka nie jechała w moją stronę. Na szczęście z zamówionych książek przysłano mniej niż połowę.

Kiedy pochwaliłem się przed kolegami moją samodzielną wyprawą na Stację po książki, potraktowali mnie jak człowieka niespełna rozumu, bo kto dobrowolnie czyta książki i jeszcze do tego wydaje na nie tyle pieniędzy, zamiast na przykład na scyzoryk, czy baterijkę na spody (latarkę na baterie). Ale głupota ludzka jak miłosierdzie boskie jest bez granic.

Wśród książek była grubaśna – „Baśnie”, zdaje się Braci Grimm; dwie książki średniej grubości – „Chata Wujka Toma” i „Przygody Robinsona Kruzoa”;

dość cienka pod tytułem „Zwycięzca smoka” oraz dwie cienkie książeczki, z których jedna miała tytuł: „Bartek Zwycięzca”. Autorów nie zapamiętałem i to pozostało mi na długo.

Natychmiast zabrałem się do lektury. „Zwycięzca smoka” nie wzbudził mego entuzjazmu i nie pamiętam kto i w jaki sposób pokonał tego smoka. Na pewno nie był to znany wszystkim Krak. Także nie zachwycała mnie „Chata Wujka Toma”, chociaż była zaczytywana i oblewana łzami przez ciotki i starsze kuzynki. Zaniechałem czytania cienkiej jak zeszyt książeczki „Bartek zwycięzca”, bo już początek zapowiadał, że Bartek będzie walczył z Francuzami, i to po stronie Niemców, a tytuł wskazuje że ich zwycięży. Francja jest przecież sojusznikiem Polski i nie poddam się niemieckiej propagandzie. Natomiast książkę o Robinsonie można było czytać wielokrotnie. Stała się wzorem do organizowania zabaw, w których istniało niestety słabe ogniwo – trudno było znaleźć kandydata na Piętaszka.

Próbowałem połączyć czytanie z zajęciami należącymi do moich stałych obowiązków w gospodarstwie. Większość z nich wymagała znacznej podzielności uwagi. Bo na przykład takie gęsi, nad którymi powierzano mi czasem opiekę, podobno „głupie jak gęś”, natychmiast odkrywały, że pastuch błędzi myślami po dalekich krajach i wchodziły w szkodę. Dla spacyfikowania gęsiego stada można było podpędzić je do zagoniku maku i pozwolić poskubać

soczystych liści, ale tak, aby nie ogołociły roślin do cna. Mak wprowadzał gęsi w senne zadowolenie. Po spożyciu tego przysmaku grupowały się w kupę i pogęgując coraz ciszej zasypiały. Wtedy można spokojnie poczytać póki zmrok nie zaciemni liter.

Jak to się stało, że w czasie okupacji, w roku 1943, przysłano mi polskie książki? I to bez krzty propagandy niemieckiej. Pewnie wydawnictwo Gebethnera i Wolfa działało w konspiracji. Można sobie wyobrazić pracownika wydawnictwa czytającego mój list, sprawił mu wiele radości, a naiwna treść dawała gwarancję bezpieczeństwa.

Książki te stały się zaczątkiem mojej domowej biblioteczki. Chyba pierwszej na wsi, nie licząc tych u nauczycieli i księdza proboszcza. Mama zakupiła nawet etażerkę z wikliny, miała trzy półki i była kolorowa, skomponowana z gałązek o różnych odcieniach. Etażerka zajęła eksponowane miejsce w pokoju. Dokonałem nawet skatalogowania mego księgozbioru składającego się z prawie dziesięciu książek, wraz z zawłaszczonymi dziadkowymi księgami „Starego i Nowego Testamentu”. Tuż po wojnie zasoby mojej biblioteki powiększyły się o kilka książek z rozparcelowanego majątku dziedzica z Pogwizdowa. Książki uratowane przed spaleniem w piecach Pogwizdowian, a było ich ze trzy furmanki, złożono w jednej z klas w szkole. Leżały tam na kupie ze trzy tygodnie. Z moim kolegą

Leonem pomagaliśmy panu nauczycielowi w porządkowaniu książek i układaliśmy je porządnie pod ścianami. Wszystkie były pięknie oprawione w sztywne okładki, niektóre nawet skórzane. Zabraliśmy sobie po kilka książek (nie ukradliśmy!), i tak były niczyje, upaństwowione. Chociaż taki zysk mieliśmy z parcelacji, w naszej wsi nie było kogo rozparcelować. Ja zabrałem „Potop”, bo tomiska opasłe i ładnie będą się prezentować na etażerce. Leon wziął małe książki o jakimś Sherlocku Holmesie. Wkrótce większość książek dziedzica zabrano do Miechowa. Podobno je spalono, były nieprawomyślne. Pozostawione resztki zasiliły dopiero co powstałą bibliotekę gminną. A moja biblioteczka urosła do kilkudziesięciu książek.

### *Doświadczenia kulinarne*

(...) W tym czasie byłem w dość bliskich stosunkach koleżeńskich z jednym z synów Biedniaka, moim rówieśnikiem. Kolega ów używał mi na ślizgawkę drewniaków. Drewniaki stwarzały niesamowite możliwości ślizgowe, tak na śniegu jak i na lodzie. Podeszwę stanowiły odpowiednio ukształtowane kawałki drewna obite parcianą przyszwą. Obuwia takiego nie posiadałem z powodu uporu ojca, który oświadczył, że jego stać na normalne buty skórzane na rzemiennych podeszwach, i jego dzieci w drewniakach chodzić nie będą.

(...) Powróciliśmy ze ślizgawki z kolegą Biedniakiem. Pora była południowa i cała rodzina zasiadała do obiadu. Mimo moich protestów, raczej formalnych, gdyż potrawa pachniała smakowicie, dostałem porcję ziemniaków z sosem i kilkoma kawałkami mięsa. Po tej uczcie zaszczylił mnie rozmową dziadek Biedniak: – „Smakowało?” – zapytał, i nie oczekując odpowiedzi dodał – „To było dooobre mięso! Pies był młody!”. Poczułem, że już, już, a napętnia mi się usta zawartością żołądka. Natychmiast pobiegłem do domu aby sprawdzić czy Tyran, mój buldogopodobny pies, nadal żyje. Żył i rozciągnięty do słońca spał spokojnie przed budą.

Kolega od drewniaków nie uznał potrawy z psa jako przyczyny usprawiedliwiającej gwałtowne ochłodzenie naszych stosunków przyjacielskich. – „Psie mięso to takie samo jak kurze czy inne” – powiedział urażony. Skończyło się ślizganie w drewniakach.

Skojarzyły mi się powszechnie znane wcześniej fakty. Dziadek Biedniak miał opinię dobroczyńcy chorych potrzebujących cudownego leku za jakie uchodziło psie sadło. Było to panaceum na wszystkie prawie choroby i te we wnętrzu, i te zewnętrzne. Na choroby brzuszne i piersiowe należało wypić dwa razy dziennie po łyżce psiego sadła rozpuszczonego w gorącym mleku. Na choroby zewnętrzne, jak reumatyzm czy postrzał, dobrze robiły wcierania i okłady. I to wyjaśniało obecność co raz to nowych psów w szopie Biedniaka. Psy

trzeba było karmić i to dobrze, bo musiały się upaść. Czym karmić? Psami byle jakiej kondycji. Od czasu do czasu psy dzieliły się strawą z rodziną Biedniaka aby nie przymierali głodem. Wszyscy w rodzinie mieli płaszcze podbite futrem.

W dalekiej przyszłości przyszło mi przeżywać o wiele cięższe doświadczenia kulinarne związane z koniecznością spożycia specjałów kuchni mongolskiej. Wracaliśmy z Charchorina (za Dżyngis-chana – Karakorum) do Cecerlegu, stolicy archangajskiego ajmaku. Mongolskie ajmaki to odpowiedniki naszych województw, tyle że niektóre są równe obszarowi Polski. Było późne popołudnie. Jechaliśmy przez step gazikiem „na azymut”. To przecinamy jakąś dolinę, to wspinamy się na wzniesienie, to objeżdżamy jakieś wzgórze o stromym zboczu. Wszystkie wzgórza podobne do siebie. Nie mogę pojąć jak dzolocz (kierowca) odnajduje właściwy kierunek. Nie ma przecież żadnego szlaku, tylko zrudziała trawa przyprószone miejscami śniegiem, który spadł ostatniej nocy. Z pamięciowej wizji mapy Mongolii, powinniśmy jechać na północny zachód, czyli słońce ma nam świecić z przodu i nieco z lewej strony. A świeci raz bardziej z prawej, raz bardziej z lewej. Czyli możemy ominąć Cecerleg albo od południa albo od północy. Nie ominęliśmy, trafiliśmy prosto na trakt prowadzący do miasta. Gombo wyjaśnił mi potem, że drogę wyznaczały nam „owo” – kopce usypane z kamieni na szczytach wzniesień. „Owo” były od zawsze. Miejsca święte.

Po drodze zatrzymujemy się w aule składającym się z trzech jurt. To koczownicy, pasterze krów i owiec. Naczelnik aułu jak nakazuje obyczaj zaprasza wędrowców do jurty. Obyczaj nakazuje przyjąć wędrowca, nakarmić i napoić, i wędrowiec może wypoczywać przed dalszą drogą jak długo zechce. Nie zamierzamy zostawać na wypoczynek. Zapach gotowanej stawy, niezbyt zachęcający jak na europejskie normy, rozjaśnił uśmiechem twarz Gombo. Zaciera ręce, będzie dobre jedzenie! „Wnutriennosti!” – wyjaśnia radośnie po rosyjsku. Czyli flaczki. Znam przepis na flaczki po mongolsku. Ale na „podanie tyłów” jest już za późno.

Wchodzimy do jurty. Wysoki próg należy przekroczyć, nie daj boże stanąć na nim, to obraza dla gospodarzy. Do dobrego obyczaju świadczącego o znajomości tradycji i szacunku dla gospodarzy należy zamieszczenie kumysu drewnianą warząchwią tkwiącą w bukłaku z owczej skóry zawieszonym na lewo od wejścia. Zasiadamy po lewej, czyli męskiej stronie jurty. Inch-tuja, nasza opiekunka z ramienia władz terenowych Cecerlegu, zajmuje miejsce naprzeciw nas, po stronie kobiecej. Centralne miejsce jurty zajmuje żelazny piec (w Polsce miałby nazwę „koza”) z blaszaną rurą wystającą przez otwór w sklepieniu dachu, dawniej tamtędy uchodził dym z ogniska. Tu w stepie pali się wysuszonym łajnem krów, jaków, lub wielbłądów. Czasem, jeśli w pobliżu znajduje się jakiś zagajnik modrzewiowy lub cedrowy, pali się drewnem. W

miastach jurty są opalane węglem lub drewnem. W Ułan Bator prawie połowa mieszkańców mieszka stale w jurtach, a zimą znacznie więcej.

Przychodzą sąsiedzi zobaczyć egzotycznych gości, aż z Polski. Gospodarz częstuje kumysem nalewanym z plastikowego kanistra, bo biesiadę należy rozpocząć a i kończyć białym. Czarinę z kumysem podaje dwoma rękami i w taki sposób należy ją odebrać. Stary Mongoł z sąsiedniej jurty częstuje tabaką w małym ozdobnym flakoniku. Trudno trzymać taką miniaturkę dwoma dłońmi, dzierży ją w palcach prawej ręki, a lewą podtrzymuje prawe przedramię. Taki gest też oznacza podanie dwoma rękami. Podobno obyczaj ten pozostał z pradawnych czasów i miał potwierdzać pokojowe zamiary darczyńcy: – „Przyjmij ten dar przyjaźni. Widzisz obie moje ręce. Wiedz, że nie ukrywam zbrodniczego narzędzia!” Przyjęcie daru dwoma rękami podkreślało wzajemność pokojowych zamiarów i brak możliwości dokonania czynu podstępnego. Teraz jest to przejaw wzajemnego szacunku.

Następuje ceremonia zażywania tabaki. Nasypuję nieco proszku na zewnętrzną powierzchnię dłoni u nasady dużego palca, w zagłębienie noszące starą anatomiczną nazwę: tabakierka, i pociągam raz i drugi nosem. Tłumaczę, że w Polsce w dawnych czasach tak raczono się tabaką. Wszyscy próbują nowej techniki niuchania tabaki. Ponieważ nie posiadam tabaki w rewanżu częstuję mężczyzn papierosami. Ale nie według naszego zwyczaju: „Wybierz sobie

jednego z paczki!”. Mongoł może zrozumieć, że dostaje całą paczkę papierosów. Przejawem prawdziwego szacunku jest podanie jednego papierosa, zgodnie z zasadami – dwuręcznie. Następuje ceremonia palenia papierosów, palą nawet ci niepalący, inaczej darczyńca może się obrazić. Do dobrego obyczaju należy obdarowanie dzieci i kobiet. Przezornie jesteśmy zawsze zaopatrzeni w słodycze. Wszystkim szczególną radość sprawiają „sezamki”.

Flaczki wiszą nade mną jak miecz Damoklesa, przypomina o tym coraz silniejszy zapach, już wnet muszę się z nimi zmierzyć. Nie mogę odmówić, bo obrażę gospodarzy.

Dostajemy archi w chińskich czarkach. To tutejszy samogon. Surowcem jest mleko, najlepiej kobyłe bo zawiera dużo cukru. Wcześniej, w czasie powtarzanych zajęć praktycznych w spożywaniu archi produkowanej przez monopol spirytusowy Mongolii, utworzony zresztą przez polskich specjalistów, Gombo zaznajamiał mnie z obyczajami towarzyszącymi picciu alkoholu. Moczę opuszki palców w archi i strząsam kilka kropli przed siebie i za siebie. To obiata dla duchów przodków. Gest wywołuje powszechną aprobatę.

Chcąc się przygotować psychicznie na posiłek finalny popieram ochoczo kilka toastów pociągając dość słusznymi łykami płyn z naczynia zawierający około 25vol% alkoholu. Gospodyni natychmiast napełnia czarkę ponownie. W

Mongolii nie ma zwyczaju namawiania do picia, można spędzić czas przy pełnym naczyniu, mocząc usta na znak spełnienia toastu, ale opróżnioną czarzkę należy natychmiast „odnowić”.

Nastąpił czas próby. Gospodyni nakłada do talerzy solidne porcje flaczków. Pierwsze porcje najbardziej treściwe, nabrane od dna, otrzymują goście. Wzmocniony nieco spożytą wcześniej samogonką, uczyniłem znak krzyża polecając Najwyższemu zwichrowane nawyki cywilizacyjne co się jada, a czego się nie jada, prosząc o łaskę zapanowania nad odruchami wymiotnymi przynajmniej na pół godziny. Przebywanie w oparach gotującej się potrawy przytępiło zmysł węchu i tak oswojony z zapachem siorbnątem kilkakrotnie z łyżki. – „Nie myśleć o tym co teraz jem! Wyrażać ukontentowanie!” – nakazałem swym zmysłom. Wyrażanie ukontentowania polega na głośnym siorbaniu (inaczej się nie da, bo to wrzątek), mlaskaniu i odbekiwaniu. Ileż powietrza natyka się człowiek podczas siorbania! Umilkły rozmowy. Gombo w mig zmiotł swoją porcję i dostał dokładkę od gospodyni czujnym okiem obserwującej biesiadników. W obawie przed dokładką długo siorbię z pustawej łyżki. Ciężko powstrzymać napływ myśli o istocie flaczków. Udało mi się nie dokończyć swojej porcji i w odpowiednim momencie oddać naczynie. Wypiłem resztę archi zostawionej na oczyszczenie kubków smakowych, gospodarz skwapliwie dolał na „odnowienie”. Na zakończenie biesiady dostajemy znów

białą potrawę – sute-caj, zieloną herbatę zaparzoną we wrzącym mleku dość mocno posolonym, na powierzchni pływają oka stopionego masła. Takiego wrzątku nie da się wypić bez siorbania. Po flaczkach „niebo w gębie”.

Smak i zapach flaczków po mongolsku zostaje na zawsze w pamięci. Podstawowym składnikiem tej niezwykłej potrawy jest początkowy odcinek przewodu pokarmowego dwu-trzydniowego cielęcia, karmionego tylko mlekiem matki – krowy, zanim jeszcze zacznie skubać trawę. Zabitemu cielęciu wyjmuje się żołądek i kawałek jelita podwiązując oba końce aby nie uronić nic z zawartości w czasie gotowania. Potem zagotowany odcinek przewodu pokarmowego należy pokrajać wraz z serowatą zawartością w środku, można dodać ziół, które rosną przecież w stepie i znów gotować. Taka technologia obróbki świadczy o umiejętności przygotowania potrawy wysokobiałkowej, a jednocześnie lekkostrawnej, składającej się z młodziutkich wnętrzności i wyssanego mleka. Mleko stanowiące zawartość jelita uległo procesom trawienia przez podpuszczkę, ferment trawienny wykorzystywany do produkcji serów. Przy spożywaniu sera nikt nie ma skojarzeń z przewodem pokarmowym cielęcia. Jedyny dylemat to brak ostrego rozgraniczenia pomiędzy odcinkiem przewodu pokarmowego zawierającego masę mleczną podlegającą działaniu podpuszczki a odcinkiem jelit wypełnionych zawartością oczekującą na wydalenie.

Spożywając w dzieciństwie gulasz z psa nie śniły mi się przyszłe o wiele trudniejsze, bo świadome, przeżycia kulinarne.